Mój tato zatruł się azotem, a stało się to na kilka lat przed wybuchem wojny. Pracował wtedy w kombinacie chemicznym, gdzie produkowano sztuczne nawozy. Pewnego dnia, na kilka minut przed końcem pracy, wszedł do wielkiej stalowej rury, by coś tam zrobić. Rura była nafaszerowana gazem zabójcą. Tato zdążył złapać dwa oddechy, po czym, już martwy spadł z drabiny na dno. Azot nie ma zapachu, a w stanie czystym zabija podstępnie i nagle.

Pozostaliśmy sami, ja i moja mama, wciśnięci w malutkie mieszkanie na poddaszu kamienicy, puszącej się od frontu secesyjną elegancją, a w oficynie szarością brudnych murów i kwaśnym smrodem kamiennej studni, do której wylewane były odchody. W studni mieszkały szczury. Pan Duch z pierwszego piętra często w słoneczne, niedzielne popołudnia, stawał w rozkroku na balkonie i strzelał z wielkiego Colta do burych zwierzątek, dając wszystkim pokaz swojej siły i niebywałej celności - był policmajstrem. Nie wszystkim to się podobało, a najbardziej jego sąsiadce, pani Heimanowej, która po każdej palbie dreptała po podwórzu i zbierała małe ciałka do starego wiadra, by potem utopić je w studni. Jednego razu, pan Duch, bardziej podpity niż zwykle, odstrzelił szczurowi tylnie nogi. Okaleczone zwierze, pełzło ku uciesze gapiów, ciągnąc za sobą martwy tułów. Pani Heimanowa, na oczach wszystkich, złapała kalekę za ogon i trzepnęła nim o kant studni tak mocno, że mała główka rozprysła się na boki czerwonym deszczem. Zachorowałem po tym widowisku i ponad tydzień leżałem nieprzytomny, w gorączce pełnej majaków i drgawek. Uratowała mnie pani Heimanowa. Na wieść o chorobie, niemal wprowadziła się do naszego mieszkania i przez te wszystkie dni nacierała mnie swoimi nalewkami, paląc nad głową zioła. Dmuchała ciężkim dymem na moją twarz, śpiewając w trakcie zabiegów psalmy w jidysz.

Heimanowa była bardzo szczupłą staruszką i nosiła na głowie wielki rudy kok. Kok pani Heimanowej był upięty tak wysoko, że stanowił jedną trzecią jej wzrostu, a na jej balkonie zawsze pachniało fermentującym winem i malinami.

Na parterze, poniżej pani Heimanowej, mieszkały dwie młode kobiety. Wila i Hesia, obie
w jednym wieku i obie piękne jak dwa nieziemskie kwiaty. Nigdy nie dowiedziałem się, kim były i czym się trudniły. Żyły jak dwa kwiaty, chylące ku sobie głowy, pachnące na odległość cynamonem, który zawsze przypomina mi dzieciństwo. Obie brunetki o wielkich oczach i miękkich czerwonych ustach, które nigdy się nie zamykały. Zawsze rozmawiały ze sobą, bez przerwy coś szeptały sobie do ucha, śmiały się głośno na całe podwórze, a pani Heimanowa nazywała je sziksami. Gdy siadywały na balkonie, zatopione w sobie, przed drzwi wychodził pan Duch i, stojąc obok, uśmiechał się do pań. Wtedy mama zamykała mnie w domu, a pani Heimanowa drażniła swoją sukę Kundzię, by ta szczekaniem, zakłócała i przeganiała wszędzie zalegający śmiech. Pan Duch, z powodu swojej siły, znosił każdego ranka do piwnicy pana Władka, szewca inwalidę, którego choroba Heinemedina, pozbawiła władzy w nogach. Pan Władek w piwnicy miał warsztat.

Kochałem Wilę i Hesię jak tylko kochać potrafi sześcioletni mężczyzna. Wieczorami siadałem w oknie i gapiłem się w szyby mieszkania kobiet. Czasami widziałem jak tańczyły, objęte, przyciskające się do siebie, a często, jak splecione w uścisku, całowały się namiętnie. Ja z nimi, łapałem powietrze i czekałem, kto dłużej wytrzyma bez oddechu. Wydawało mi się, że takie zetknięcie ustami tamuje dopływ tlenu do płuc.

Któregoś wieczora - było to już w czasie okupacji - przyszło kilku esesmanów i wywlekli kobiety z domu. Wilę bili gumowymi pałkami tak długo, aż straciła przytomność. Potem położyli ją na płaszczu i gdzieś wynieśli. Hesia stała wyprostowana i płakała głośno. Zastrzelili ją przy studni i zostawili na miejscu. Wszystko widziałem z mojego kuchennego okna. Na drugi dzień synowie pana Władka zabrali ciało kobiety i zanieśli na żydowski cmentarz.
Po kilku dniach pani Heimanowa przeprowadziła się do getta - ale o tym później.

Po historii z zabitym szczurem i moją chorobą, pani Heimanowa zaproponowała mi pracę. Przychodziłem do niej codziennie po obiedzie i na głos czytałem gazetę. Miałem sześć lat, ale czytałem już płynnie. Wynagrodzeniem była garść czerwonych landrynek. Po każdym czytaniu moja "szefowa" wyciągała cukierki z kieszeni starego fartucha i wsypywała je do mojej dłoni. Nigdy nie jadłem cukierków - pamiętałem szczura rozbitego o studnię. Od pani Heimanowej przyjmowałem z radością jedynie ciasteczka wypiekane w święto Kipur.

Wraz z nastaniem okupacji, zaprzestałem zabaw na podwórku, a moje życie zamknęło się w czterech ścianach mieszkania. Jedynym kontaktem z zewnętrznym światem były okna, przez które gapiłem się całymi dniami z pokoju na ulicę i na podwórze z kuchni.

Najbardziej tajemniczymi osobami w kamienicy byli synowie pana Władka. Przemykali zawsze w milczeniu przez podwórze, nie kłaniając się nikomu. Czasami zamieniali jakieś słowo z panem Duchem i szybko gdzieś znikali, dając wszystkim do zrozumienia, że ich świat jest gdzieś bardzo daleko i lepiej o nic nie pytać. Byli już dorośli, ale nie wiem po ile mogli mieć lat. Dowodził nimi najmłodszy - Tomek, przedwcześnie łysiejący blondynek w okularach. Często, już po zmroku, widziałem jak siadali na studni i pili wódkę, jak zawsze w milczeniu i wpatrując się pod nogi. Ich cieniem był na wpół obłąkany Misza, który nie wiadomo skąd przyplątał się do naszej kamienicy. Przyszedł i został. Zamieszkał w warsztacie pana Władka, sypiając w stercie drewnianych trocin, służących za opał. Wióry były na całej jego postaci, a najbardziej widoczne w wielkiej brodzie, która jak łopata kładła się na jego piersi.

Kilkanaście tygodni po wybuchu wojny stało się coś, co zburzyło dotychczasowe życie kamienicy. Był środek dnia, a ja siedziałem wygodnie w pokoju, na szerokim parapecie okna, wychodzącego na ulicę. Mama wyścieliła specjalnie dla mnie na obu oknach wygodne posłania, gdzie ułożyła mi kołdrę i poduszki. Miałem kategoryczny zakaz wychodzenia z domu więc okna stały się moją jedyną rozrywką.

Pan Duch poszedł na wojnę i nigdy już nie wrócił, a szczury wraz z przybyciem do miasta Niemców, mnożyły się w niespotykanym pośpiechu.

Za oknami padał pierwszy śnieg i zamieniał się w grząską breję zalegającą na ulicy. Przechodnie przemykali w pośpiechu i niknęli gdzieś w białej i ponurej zasłonie, którą tworzyły grube płatki. W pewnym momencie podjechało i przystanęło pod moim oknem kilka motocykli, siedzieli w nich niemieccy żołnierze. Postawili maszyny na chodniku i szybko rozbiegli się, tworząc wokół skrzyżowania szpaler. Zrobiło się bardzo cicho. Nadjeżdżające samochody przystawały i czekały posłusznie przy krawężniku. Gdzieś z daleka nadchodził dziwny szmer, a poprzez białą zasłonę śniegu pokazała się ciemna plama, która rosła i zbliżała się z narastającym szumem, przechodzącym w miarowy stukot. To maszerowali ludzie. Od wschodniej strony miasta szła kolumna postaci ubranych w szarozielone mundury. Byli to - jak się później dowiedziałem - polscy żołnierze, wzięci gdzieś do niewoli. Pamiętam długie płaszcze, które łączyły się ściśnięte w jeden zielony wąż.
W oknach sąsiedniej kamienicy pokazały się głowy obserwatorów, które z upływem czasu zagęszczały

szyby, układając się piętrowo, jedne na drugiej. Przechodnie nie przystawali w miejscu, a raczej chyłkiem uciekali, rozglądając się trwożliwie na boki. Mama w tym czasie pracowała na poczcie i trochę było mi żal, że nie ma jej w domu, gdyż jej bracia poszli na wojnę i jeszcze nie dali znaku życia. Gdy jeńcy podeszli pod naszą kamienicę, zobaczyłem zataczającego się Miszę. Stanął na krawężniku, tuż przy jezdni i, kiwając się na boki, wbijał swój wzrok w maszerujących. Żołnierze uśmiechali się do Miszy i kiwali mu rękami na powitanie. Przypominał mi jakąś postać z moich bajek. Był cały zarośnięty i oblepiony drewnianymi wiórami, które wplecione w jego kudły, przypominały płatki śniegu. Coś wołał do Niemców i do jeńców na przemian. Strażnicy nie reagowali, stojąc majestatycznie wzdłuż ulicy, a polscy żołnierze śmiali się do niego radośnie i machali czapkami. Myślę, że wszyscy widzieli w nim jakiegoś szaleńca, który w swojej głupocie, nie wie, co to strach, a może nawet myśli, że to jakaś defilada. Ja w swojej kryjówce, zasłonięty szybami, wysoko na drugim piętrze, bałem się bardzo i wydawało mi się, że za chwilę któryś Niemiec odkryje mnie i strzeli z karabinu w moje okno. W pewnym momencie stało się coś, co było tak nieoczekiwane i nierealne, że wszyscy stanęli w miejscu, nawet kolumna jeńców. Misza podbiegł do jednego Polaka i szerokim gestem, tańcząc w miejscu na chudych nogach, napluł mu w twarz. Za szybami w sąsiedniej kamienicy, głowy przylepione do okien, zakotłowały się, gdzieś pękła szyba
i z brzękiem posypała się na chodnik. Nawet Niemcy stali jak wmurowani w bruk. Zacząłem płakać. Wtedy jeden ze strażników zaszedł Miszę od tyłu. Przez chwilę stał, pochylony do przodu, a potem szerokim ruchem zakręcił karabinem i wykonując mały podskok rąbnął Miszę kolbą w tył głowy. Siła uderzenia była tak potężna, że karabin prześliznął się po głowie i przeleciał na drugą stronę. Zobaczyłem jak wielka i gęsta czupryna Miszy podskoczyła do góry i odpadła od głowy na ulicę, a na nią spadły kawałki czaszki i mózgu. Strażnik podszedł do jeńca i podał mu wyjętą z kieszeni białą chusteczkę. Polak wytarł twarz i chciał ją zwrócić, ale Niemiec pokazał mu ruchem głowy na trotuar. Chusteczka wylądowała na mokrym bruku, a strażnik wyczyścił o nią swój karabin. Potem padła komenda i wszyscy pomaszerowali dalej.

Ciało Miszy przeleżało do wieczora w kałuży krwi pomieszanej ze spadającym śniegiem, a rano, gdy spojrzałem na ulicę, zobaczyłem ledwie widoczną, czerwoną plamę.

Od tego czasu, aż do historii Hesi i Wili nic ciekawego się nie działo. Pan Władek klepał w piwnicy buty, jego synowie popijali wódkę na studni, a czasami przynosili jakieś walizy i dzielili się wyciąganymi z nich rzeczami. W kilka dni po zabiciu Hesi przez esesmanów, pani Heimanowa urządziła pożegnanie. Wyprowadzała się do getta. Dostałem wtedy od niej ostatniego cukierka, którego długo szukała w kieszeni. Potem już nic się nie działo, aż do zniknięcia mojej mamy. Wyszła do pracy i wróciła po dwóch latach. Ale to już inna opowieść, taka na następny raz.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Jerzy, dodano 14.02.2009 11:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.